

MOJE SERCE

OLI

Mówiłem do serca swego: o bombo serca, o czerwona bombo, która tak długo, tak długo, tak długo nie chcesz mnie zerwać!

Przyrównywałem serce do lokomotywy pragnień, do ognistego wozu, który, jak ongi Eljasza, porwie mnie kiedyś na niebo.

Nazywałem baterją wzruszeń, doniczką miłości, młynkiem mąk, żebraczą torbą pieśzcot, sygnaturką pragnień, skarbonką pocałunków, zresztą każdym imieniem każdej rzeczy na ziemi i niebie.

W chwilach emfazy przemawiałem doń: o wazo cierpienia, lub: gąbko, która wysysasz cierpienia, albo inaczej jeszcze: oboro pożądań!

Aż pewnej północy poznałem jego właściwą naturę. Było to nie pamiętam którego kwietnia 1923 roku między Żórawią 26 a Marszałkowską. Spojrzawszy wówczas na serce przez oko, jak przez dziurkę od klucza

zobaczyłem:

serce moje jest kompasem, który wszędzie wskazuje na O.

PRZEMIANY

W zeszłym roku o zwykłej, wieczornej godzinie siedziałem w Ziemiance z świetnym poetą Stanisławem Bruczem („Niema mglistych Londynów, Londyn jest tylko jeden“) i rozmawialiśmy, jak zwykle, o poezji, o sztuce, o naszych kolegach.

Nagle osłupiałem! Przy sąsiednim stoliku, — przy którym siedział i od którego (pamiętałem to dobrze) nie odchodził Antoni Słonimski — teraz widziałem twarz inną, niezwykłą! nie twarz — ocean cierpienia, niebo łagodności, gwiazdy mądrości, noc dobroci! Była to nieprawdopodobnie znużona, wielowiekowa wschodnia twarz żyda, której łagodność, której znużenie i dobroć bez gracie osłupiały i wzruszały mnie niezmiernie.

Oszołomiony — (wszak zbyt dobrze pamiętałem jeszcze przed sekundą uśmiechającą się stamtąd miłą, dowcipną, zblagowaną twarz Słonimskiego) — nie zdając sobie sprawy z własnych ruchów, podniosłem się i wyciągnąłem doń rękę.

Uściskał ją i, lekko skinąwszy głową, przedstawił się:

„Ahaswer, żyd wieczny tułacz“.